Od sukcesu w przeciwdziałaniu kryzysowi urodzeń zależy miejsce Polski w Europie, dlatego politykę rodzinną należy traktować w kategorii polityki rozwojowej i racji stanu.

Liczba urodzeń w Polsce systematycznie maleje w 1984 r. w naszym kraju urodziło się ponad 700 tys. dzieci, a w 2003 r. tylko niewiele ponad 350 tys. Obecna zwyżka liczby urodzeń (413 tys. w 2010 r.) to tylko czasowe odbicie od trendu, gdyż w wieku rozrodczym są właśnie roczniki wyżu demograficznego z początku lat 80. XX w.

Mniej pomysłów

Prognozy GUS nie pozostawiają jednak złudzeń liczba urodzeń będzie malała, stopa dzietności pozostanie na niskim poziomie, a liczba Polaków z obecnych 38,2 mln spadnie do 36 mln w 2035 r. Starzenie się społeczeństwa będzie negatywnie wpływało na dynamikę rozwoju gospodarczego, ponieważ na coraz mniejszą grupę osób pracujących będzie nakładany swoisty podatek demograficzny w celu pokrycia kosztów wypłat emerytur oraz rosnących wydatków na zapewnienie osobom starszym opieki medycznej.

Jeśli obecne tendencje się utrzymają, takie działania jak: podniesienie wieku emerytalnego, zwiększenie stopy aktywności zawodowej czy nawet wzrost wydajności pracy, nie skompensują negatywnego szoku demograficznego dla gospodarki. Co więcej, mniej osób młodych to mniej przełomowych idei, pomysłów, kreatywnych przedsiębiorców i innowatorów. Historia gospodarcza świata pokazuje, że rozwiązania problemów trapiących naszą cywilizację powstawały zwykle w zatłoczonych regionach. To tam wyzwalana była kreatywna moc, która stanęła u źródeł rewolucji przemysłowej i informatycznej. To ta moc, wypływająca z interakcji milionów ludzi, umożliwiła przeprowadzenie zmian politycznych, rozszerzających obszar wolności fundament systemu wolnorynkowego, co ostatnio obserwowaliśmy na przykładzie Kairu i Egiptu.

[mc4wp_form id=”84″]

Edward Glaeser, ekonomista z uniwersytetu Harvarda, podkreśla w znakomitej książce „Triumf miasta”, że to „dynamiczny przepływ informacji w dużych zbiorowościach ludzkich jest najlepszą pożywką dla kreatywności i innowacyjności, a więc dla wzrostu gospodarczego. Co więcej, interakcje te powinny mieć formę osobistych kontaktów. Nieprzypadkowo najbardziej innowacyjne firmy

informatyczne działają zwykle w skupiskach geograficznych (Dolina Krzemowa czy Bangalore w Indiach), chociaż wydawać by się mogło, że to właśnie one mogłyby oprzeć swoje interakcje na kontakcie jedynie poprzez Internet.

Co jednak się stanie, jeśli interakcji będzie mniej, gdyż nie będzie miał kto współpracować, gdyż społeczeństwo się zestarzeje, młodych ubędzie i na dodatek zostaną oni obciążeni podatkiem demograficznym? Na rynku idei zapanuje marazm, system społeczno-gospodarczy przestanie ewoluować i pogrąży się w apatii.

Czy można temu przeciwdziałać? Tak, gdyż stopę dzietności można zwiększyć poprzez odpowiednią politykę państwa.

Co się opłaca

Gary Becker, jeden z najwybitniejszych ekonomistów XX w., laureat ekonomicznego Nobla z 1992 r., w jednej ze swoich prac napisał: „W odniesieniu do wszelkich w ogóle zachowań ludzkich należy zakładać, że ich uczestnicy maksymalizują swoją użyteczność […], a podejście ekonomiczne dostarcza nam ujednoliconego schematu umożliwiającego tłumaczenie zachowań ludzkich”. Becker stwierdza więc, że ludzie zachowują się racjonalnie i dążą do maksymalizacji użyteczności, czyli dobrobytu. Zasada maksymalizacji użyteczności dotyczy wszystkich sfer życia człowieka, w tym tej związanej z prokreacją. Innymi słowy, jeśli gospodarstwom domowym będzie się opłacało mieć dzieci, to powinny je mieć. Jako ekonomiści przyjmujemy, że instytucje (reguły gry, system prawny, ale też normy nieformalne, tj. kultura) tworzą system bodźców, który wpływa na zachowanie jednostek.

To, że w 2004 r. w Polsce liczba wniosków o separacje wzrosła o 203 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim, nie wynikało z głębokich zmian kulturowych, ale z wejścia w życie regulacji preferujących rodziców samotnie wychowujących dzieci w dostępie do świadczeń z opieki społecznej.

Podobnie silny spadek stopy dzietności w okresie transformacji ustrojowej można wytłumaczyć znaczącym wzrostem kosztów alternatywnych posiadania dziecka (lub inaczej wzrostem korzyści z tytułu braku potomstwa), które w żaden sposób nie były kompensowane polityką państwa. Bo przecież, gdy dobrze zarabiająca kobieta – a tych jest szczęśliwie coraz więcej – bez dostępu do taniej i dobrej opieki przedszkolnej, decyduje się na dziecko, to jej sytuacja materialna ulega pogorszeniu przestaje pracować i do tego musi opłacać usługi opiekuńcze. Te koszty alternatywne w dużej mierze zależą od polityki państwa, co oznacza, że nie

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl[autor].

powinniśmy pytać, czy polityka rodzinna może zwiększyć liczbę urodzeń, ale w jakim stopniu.

Chronić pełną rodzinę

Jednym z pierwszoplanowych celów polityki rodzinnej powinno być zwiększenie liczby urodzin, ale nie można tejże polityki sprowadzać wyłącznie do tego. Równie ważna powinna być ochrona instytucji rodziny i małżeństwa jako najlepszego miejsca do wychowania „małego barbarzyńcy" przychodzącego na świat, żeby posłużyć się metaforą francuskiej filozof Chantal Delsol. Dzieci we wczesnym etapie rozwoju potrzebują stabilności i miłości ze strony obojga rodziców.

Ostatnie badania pokazują, że na przykład w USA 50 proc. dzieci, które przyszły na świat w związkach nieformalnych, będzie świadkami rozstania swoich rodziców, gdy jeszcze nie będą miały ukończonych pięciu lat życia. W przypadku rodziców żyjących w związku opartym na małżeństwie dramat rozstania rodziców spotka „jedynie" 15 proc. dzieci w tej grupie wiekowej.

Co więcej, dzieci ze związków nieformalnych są słabiej wykształcone i same częściej kończą swoje przyszłe związki poprzez rozstanie i pozostawienie dzieci jednemu partnerowi, zwykle kobiecie. Inne badania wskazują, że 81 proc. dzieci, które pochodzą z nieformalnych związków, doświadczy ubóstwa, podczas gdy ten sam wskaźnik dla dzieci pochodzących ze związków opartych na małżeństwie wynosi tylko 22 proc. Mówimy tu o efektach statystycznych, które nie wykluczają odmiennych jednostkowych przypadków.

Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest to, że pary żyjące w związkach nieformalnych statystycznie wydają więcej na bieżącą konsumpcję niż te żyjące w związkach małżeńskich, które w dużo większym stopniu inwestują w edukację dzieci. Inne badania wskazują, że małżeństwo rodziców nie tylko zwiększa dobrostan dzieci, ale przede wszystkim kobiet i w przypadku Stanów Zjednoczonych jest jednym z najlepszych sposobów na obniżenie ryzyka ich ubóstwa.

Jak pokazał George Akerlof, laureat ekonomicznego Nobla z 2001 r., spadek liczby tzw. shotgunmarriage (małżeństwa zawieranego w sytuacji, gdy kobieta zachodzi w ciążę w wyniku przypadkowego kontaktu seksualnego) doprowadził do znaczącego wzrostu stopy ubóstwa kobiet samotnie wychowujących dzieci. Jego zdaniem erozja instytucji tego rodzaju małżeństw wynikała z upowszechnienia aborcji i środków antykoncepcyjnych, co wpłynęło na niemal zupełny zanik normy społecznej, według

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl[autor].

której mężczyzna zobowiązany jest do poślubienia partnerki, gdy zachodzi ona z nim w ciążę. Ochrona rodziny, opartej na związku małżeńskim kobiety i mężczyzny, musi być więc istotnym elementem polityki rodzinnej, również w jej wymiarze pronatalistycznym.

Bez ułatwień

Jeśli decyzja o posiadaniu potomstwa zależy w dużej mierze od kosztów związanych z opieką i wychowaniem dziecka, to państwo powinno starać się je zmniejszyć. Dobrym, choć niewystarczającym, krokiem było wprowadzenie ulgi w PIT z tytułu posiadania dziecka. Źle się jednak stało, iż mechanizm ten nazwano ulgą, gdyż wypływa on z fundamentalnego założenia, że dochód przeznaczany na finansowanie konsumpcji koniecznej nie powinien być opodatkowany, a im więcej dzieci w rodzinie, tym większa konsumpcja konieczna. Inny mechanizm poprawiający funkcjonowanie rodziny to zwiększenie wysokości składki emerytalnej odprowadzanej za kobiety przebywające na urlopie wychowawczym.

Niestety na tym lista działań wspierających rodziny właściwie się kończy. Nadal przedszkola są niedostępne, a pełne rodziny z większą liczbą dzieci są dyskryminowane w dostępie do nich, gdyż zgodnie z rozporządzeniem MEN pierwszeństwo mają rodzice samotnie wychowujący dzieci – zwykle jedno dziecko. Tu ujawnia się bardziej generalny problem szereg mechanizmów polityk publicznych preferuje i wspiera osoby samotnie wychowujące dzieci (tym samym zachęca do fikcyjnych rozwodów), a pomija wsparcie dla tych, którzy mają więcej dzieci, osiągają przeciętne dochody i gdzie jeden z rodziców (zwykle kobieta) jest poza rynkiem pracy. W Polsce dominuje przekonanie, że trzeba ułatwiać godzenie obowiązków rodzinnych z zawodowymi i finansować ze środków publicznych przedszkola. W tle leży założenie, że im większa stopa aktywności zawodowej kobiet, tym wyższa dzietność. Na pierwszy rzut oka to słuszne założenie, lecz rzeczywistość jest inna. Na przykład w Szwecji wysoka stopa dzietności kreowana jest bardziej przez tradycyjne rodziny, oparte na związku małżeńskim, niż przez innowacyjne „rodziny”, zwykle z jednym dzieckiem, do których trafia gros pomocy publicznej.

Nie twierdzę, że nie trzeba wprowadzać ułatwień dla godzenia ról rodzinnych i zawodowych i że nie należy zwiększać dostępności przedszkoli, ale stawiam tezę, iż ze względu na większy zwrot z poniesionego wydatku preferencje powinny mieć pełne rodziny, posiadające co najmniej dwoje dzieci. Zwykle bowiem koszt posiadania kolejnego dziecka dla rodziny, która ma już co najmniej jedno dziecko,

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl[autor].

jest niższy niż koszty związane z urodzeniem i opieką nad pierwszym dzieckiem. Warto więc kierować pomoc w większym stopniu do tych, którzy w świadomy sposób decydują się na posiadanie dużej rodziny.

Polityka rodzinna musi kosztować. Ale konieczna jest decyzja polityczna dotycząca realokacji wydatków publicznych i przesunięcia ich strumienia w większym stopniu w kierunku rodzin. Należy to traktować nie w kategoriach wzrostu wydatków społecznych, ale inwestycji prorozwojowej. Nie ma żadnych argumentów ekonomicznych, dla których wydatki na poprawę jakości kapitału ludzkiego (edukacja) traktuje się w kategoriach inwestycji, a wydatków na ilość tego kapitału (liczba urodzin) już nie.

Jeśli chce się rozwiązywać problemy współczesnej Polski, w tym silnego deficytu systemu emerytalnego, to nie można wyłącznie leczyć objawów choroby (wzrost liczby emerytów w relacji do osób aktywnych zawodowo). Dlatego niedopuszczalne jest – skądinąd konieczne – podniesienie wieku emerytalnego, bez jednoczesnego wdrożenia spójnego programu polityki rodzinnej.

Buspasy dla rodziców

I na koniec jeszcze jedna uwaga. Chociaż polityka rodzinna musi kosztować, to są takie działania, których koszt jest znikomy, a które w wydatny sposób mogą zmieniać kulturę na bardziej prorodzinną. Wszyscy przecież wiemy, że prawo ma również charakter normotwórczy. Marzą mi się takie rozwiązania, które powodowałyby, że posiadanie dzieci byłoby cool, a inni korzyści z tym związanych rodzicom by zazdrościli. Przykład: dlaczego w dużych miastach rodzice dowożący rano dzieci do przedszkola nie mieliby prawa jeździć buspasami? Dlaczego polskie miasta nie miałyby wprowadzać kart rodzinnych, które uprawniałyby do różnych preferencji w usługach publicznych i komercyjnych?

Państwo jest tu jednak zupełnie bierne i mało innowacyjne. Optymistyczne jest to, że młodzi ludzie chcą mieć dzieci i zakładać rodziny. A nie realizują później swych deklaracji, bo natrafiają na wiele barier, które dobra polityka państwa mogłaby wyeliminować. Polityka rodzinna może być w Polsce bardziej skuteczna niż w innych krajach UE. Tam bowiem kultura konsumpcyjna w większym stopniu doprowadziła do tego, że dla młodych rodzina i posiadanie dzieci przestało być atrakcyjne. Warto, aby polskie elity polityczne podjęły zadanie budowy takiej polityki. To kwestia racji stanu.

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl[autor].

Źródło: Rzeczpospolita. Czytaj dalej...

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl[autor].